



Juliusz Verne
Przygody
kapitana Hatterasa
(Część druga)



ISBN 978-83-64701-78-8 (całość)

ISBN 978-83-64701-80-1 (cz. 2)

AVENTURES

DU CAPITAINE MATTERAS

LES ANGLAIS AU PÔLE NORD
LE DESERT DE GLACE.

PAR

JULES VERNE

DESSINS DE Riou



VOYAGES EXTRAORDINAIRES

Juliusz Verne



**PRZYGODY
KAPITANA HATTERASA**

*Część druga
Pustynia lodowa*

Przełożył Andrzej Zydorczak

Dziesiąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuł oryginału francuskiego: *Voyages et Aventures du capitaine Hatteras.
Les Anglais au pôle Nord*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2016

270 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych i mapka
w dwóch częściach: Édourd Riou i Henri de Montaut
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Przypisy Andrzej Zydorczak i William Butcher (źródło: Jules Verne, *The Adventures of Captain Hatteras*,
transl. W. Butcher, Oxford University Press, New York 2005; za zgodą autora przekładu przetłumaczył
Krzysztof Czubaszek)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Skład i konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2017

ISBN 978-83-64701-17-7 (całość)
ISBN 978-83-64701-19-1 (część druga)

Część druga
Lodowa pustynia



Rozdział I

Inwentarz doktora

Zuchwały był zamiar Hatterasa udania się na północ i zarezerwowania dla Anglii, swojej ojczyzny, chwały odkrycia północnego bieguna świata. Ten śmiały żeglarz zrobił wszystko, co było w ludzkiej mocy. Po walce przez dziewięć miesięcy z prądami i burzami, po rozbiciu góry lodowej i przełamaniu bariery lodowej, po zmaganiach z bezprecedensowymi mrozami zimy w podbiegunowych krainach, po zebraniu podczas swojej wyprawy w całość prac poprzedników, które zweryfikował, dzięki czemu, można by rzec, poprawił historię odkryć polarnych, po przepchnięciu swego „Forwarda” poza znane morza, w sumie po spełnieniu połowy zadania zobaczył, że jego wielki projekt uległ unicestwieniu! Zdrada, albo raczej zniechęcenie jego załogi doświadczonej ciężkimi przeżyciami i zbrodnicze szaleństwo kilku prowadyrów, postawiły go w tej chwili w przerażającym położeniu. Z osiemnastu ludzi, którzy zaokrętowali się na pokładzie brygu, zostało tylko czterech, opuszczonych, bez środków utrzymania, bez statku, ponad dwa tysiące pięćset mil od swej ojczyzny!

Eksplozja „Forwarda”, który na ich oczach wyleciał w powietrze, pozbawiła ich ostatnich środków do dalszego istnienia.

Jednakże odwaga Hatterasa nie osłabła w wyniku tej strasznej katastrofy. Towarzysze, którzy mu pozostali, byli najlepszymi ludźmi z jego załogi, zdolnymi do bohaterstwa. Przez odwołanie się do energii i wiedzy doktora Clawbonny’ego, poświęcenia Bella i Johnsona i swojej własnej wiary w powodzenie przedsięwzięcia ośmielił się mówić o nadziei w tej beznadziejnej sytuacji. Jego dzielni koledzy rozumieli go, a przeszłość tak stanowczych ludzi gwarantowała, że można było na nich liczyć w przyszłości.

Po energicznych słowach kapitana doktor postanowił zebrać szczegółową wiedzę o aktualnej sytuacji i opuściwszy swoich towarzyszy stojących pięćset kroków od statku, udał się na miejsce katastrofy.

Nic nie pozostało z „Forwarda”, ze statku zbudowanego z takim staraniem, z tego ukochanego brygu. Jedyne poskręcane lody, bezkształtne szczątki, poczerniałe, zwęglone, poskręcane żelazne pręty, kawałki lin żarzące się jeszcze jak lonty przy armatach, a w oddali spirale dymu pełzającego tu i ówdzie ponad polem lodowym, świadczące o sile eksplozji. Działo umieszczone na dziobówce, odrzucone na wiele sążni, leżało na krze, podobne do lawety. W promieniu ponad stu sążni ziemia usłana była szczątkami wszelakiego rodzaju. Stępka brygu tkwiła pod stosem brył lodowych. Góry lodowe, częściowo stopione przez ogień, już odzyskały swoją twardość granitu.



Doktor zaczął wtedy myśleć o swojej zdewastowanej kabinie, o utraconych zbiorach, o cennych instrumentach roztrzaskanych na kawałki, o porozdzieranych i spalonych na popiół książkach. Tyle skarbów unicestwionych! Wilgotnymi oczami patrzył na tę olbrzymią klęskę, myśląc już nie o przyszłości, ale o nieszczęściu nie do naprawienia, które tak bezpośrednio go dotknęło.

Po jakimś czasie dołączył do niego Johnson. Twarz starego marynarza nosiła ślady przeżytych ostatnio cierpień, kiedy musiał walczyć ze zbuntowanymi towarzyszami w obronie statku pozostawionego jego opiece.



Doktor podał mu rękę, którą bosman uściśnił ze smutkiem.

– Co teraz z nami będzie, przyjacielu? – zapytał doktor.

– Kto to może przewidzieć? – odparł Johnson.

– Przede wszystkim nie poddawajmy się rozpaczcy i bądźmy ludźmi! – powiedział doktor.

– Tak, panie Clawbonny – odrzekł stary marynarz – ma pan rację. W chwilach wielkich nieszczęść należy podejmować ważne i śmiałe decyzje. Znajdujemy się w paskudnym położeniu. Pomyślmy, jak się z niego wydostać.

– Biedny statek! – powiedział doktor z westchnieniem. – Przywiązałem się do niego! Kochałem go, jak się kocha przytulne ognisko domowe, jak się kocha dom, w którym spędziło się całe życie! Teraz nie pozostał z niego żaden większy fragment!

– Kto by uwierzył, panie Clawbonny, że ten stos belek i desek może się stać tak bliski naszemu sercu!

– A szalupa? – zastanowił się doktor, rozglądając się dookoła. – Czy ona także uległa zniszczeniu?

– Nie, panie Clawbonny, gdyż Shandon i jego ludzie, którzy nas opuścili, zabrali ją z sobą!

– A łódka?

– Roztrzaskana na tysiąc kawałków! Niech pan popatrzy na tych kilka fragmentów blachy cynowej, jeszcze ciepłych. To wszystko, co z niej pozostało.

– Pozostała nam zatem tylko *Halkett boat*?

– Tak, dzięki dobremu pomysłowi zabrania jej na waszą wyprawę.

– To strasznie mało – stwierdził doktor.

– Nędzni zdrajcy, którzy uciekli! – zawołał doktor. – Bóg ukarze ich tak, jak na to zasługują!

– Johnson – powiedział doktor łagodnym głosem – nie należy zapominać, że doświadczyli strasznych cierpień! Tylko najlepsi umieją pozostać dobrymi w nieszczęściu, tam, gdzie słabi upadają. Powinniśmy pożałować naszych towarzyszy niedoli, a nie ich przeklinać!

Po tych słowach doktor przez chwilę trwał w milczeniu i niespokojnym wzrokiem wodził po okolicy.

– Co się stało z saniami? – spytał Johnson.

– Pozostały o milę stąd.

– Pod strażą Simpsona?

– Nie, przyjacielu! Simpson, biedny Simpson, umarł z trudów!

– Umarł! – zawołał bosman.

– Umarł! – potwierdził doktor.

– Biedaczysko! – rzekł Johnson. – A przecież kto wie, czy wkrótce my nie będziemy zazdrościć jego losowi!

– Ale za jednego zmarłego, którego pozostawiliśmy, przywieźliśmy jednego umierającego.

– Umierającego?

– Tak, kapitana Altamonta!

Doktor w kilku słowach opowiedział bosmanowi o ich spotkaniu.

– Amerykanin...! – rzekł zamyślony Johnson.

– Tak, wszystko wskazuje na to, że ten człowiek jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Ale co to za statek, ten „Porpoise”, który niezawodnie uległ rozbiciu, i co porabiał w tych okolicach?

– Przyplłynął tutaj, aby zatonać – odparł Johnson. – Powiodł swoją załogę na śmierć, jak wszyscy ci, których zuchwałość sprowadza pod podbiegunowe niebo! Ale proszę mi powiedzieć, panie Clawbonny, czy przynajmniej osiągnęliście cel waszej wyprawy?

– To znaczy skład węgla? – odparł doktor.

– Tak.

Doktor smutno pokiwał głową.

– Nic? – zapytał stary marynarz.

– Nic! Brakowało nam żywności, w drodze pokonało nas zmęczenie! Nawet nie dotarliśmy do wybrzeża wskazanego przez Edwarda Belchera!

– Tak więc nie ma opału?

– Nie ma!

– Ani żywności?

– Ani żywności!

– Nie ma także statku, na którym można by powrócić do Anglii!

Doktor i Johnson zamilkli. Trzeba było posiadać nadzwyczajną odwagę, aby stawić czoła tej straszliwej sytuacji.

– Przynajmniej nasza sytuacja jest jasna – stwierdził Johnson. – Wiemy, czego się trzymać! Najpierw jednak załatwmy najpilniejsze sprawy. Jest bardzo mroźno i musimy zbudować śniegowy domek.

– Tak, z pomocą Bella to będzie łatwe – odparł doktor. – Potem odnajdziemy sanie, przywieziemy Amerykanina i naradzimy się razem z Hatterasem.

– Biedny kapitan! – rzekł Johnson, znajdując sposób, by nie myśleć o sobie. – On musi naprawdę cierpieć!

Doktor i bosman powrócili do swoich towarzyszy.

Hatteras stał nieruchomy, swoim zwyczajem skrzyżowawszy ramiona, milczący, wyglądając przysłonięci w przestworzach. Na jego twarzy pojawiła się ponownie zwykła stanowczość. O czym rozmyślał ten niezwykle mężczyzna? Czy martwiła go beznadziejna sytuacja, czy też unicestwione zamiary? Czy w końcu pomyślał o odwrocie, skoro ludzie, żywioty, wszystko sprzysięgło się przeciw niemu?

Nikt nie potrafił poznać jego myśli. One nie przedostawały się na zewnątrz. Jego wierny Duke ciągle był przy nim, dzielnie stawiając czoła temperaturze, która spadła do minus trzydziestu dwóch stopni (-35,6° C).

Bell leżał rozciągnięty na lodzie i prawie się nie poruszał. Wyglądał jak martwy. Ta obojętność mogła go kosztować życie. Ryzykował zamrożeniem w jeden blok.

Johnson potrząsnął nim mocno, natarł go śniegiem i nie bez trudności wyciągnął z odrętwienia.

– Dalej, Bell! Nie trać odwagi! – powiedział do niego. – Nie ulegaj przygnębieniu. Wstań, musimy porozmawiać o naszej sytuacji. Potrzebujemy także schronienia! Czy zapomniałeś, jak się buduje śniegowy domek? Chodź i pomóż mi, Bell! Tam jest góra lodowa, która tylko czeka, aby w niej wydrążyć jamę. Bierźmy się do pracy! Odzyskamy to, czego teraz nie może nam brakować, czyli odwagę i nieustraszone serce!

Bell, trochę otrzeźwiony tymi słowami, pozwolił się prowadzić starymu marynarzowi.

– W tym czasie pan Clawbonny pofatyguje się do sań i przyprowadzi je tutaj razem z psami – polecił bosman.

– Jestem gotowy ruszać – odparł doktor. – Za godzinę będę z powrotem.

– Czy będziesz mu towarzyszył, kapitanie? – zapytał Johnson, zwracając się do Hatterasa.

Hatteras, chociaż pogrążony w rozmyśleniach, widać usłyszał propozycję bosmana, ponieważ odpowiedział mu łagodnym głosem:

– Nie, przyjacielu, skoro doktor zechciał wykonać to zadanie... Przed końcem dnia musimy podjąć jakąś decyzję i muszę pozostać sam, aby się zastanowić. Chodźmy. Zróbcie to, co w obecnej chwili uważacie za stosowne, a ja pomyślę o przyszłości.

Johnson powrócił do doktora.

– Dziwna rzecz – rzekł do Clawbonny'ego. – Kapitan jakby zapomniał o całym gniewie. Nigdy jego głos

nie brzmiał tak uprzejmie.

– To dobrze. Widać odzyskał zimną krew – odparł doktor. – Uwierz mi, Johnson, ten człowiek jest zdolny nas uratować!



Powiedziawszy te słowa, doktor okrył się najlepiej jak potrafił i z żelaznym kijem w ręku ruszył w kierunku sań, zagłębiając się we mgłę, prawie zupełnie rozjaśnioną światłem księżyca.

Johnson i Bell wzięli się natychmiast do roboty. Stary wilk morski zachęcał słowami pracującego w milczeniu cieślę. Nie trzeba było nic budować, lecz należało tylko zrobić wydrążenie w dużym bloku lodowym. Bardzo twardy, znacznie utrudniał pracę wykonywaną za pomocą noża, ale za to jego twardość zapewniała stabilność schronienia. Wkrótce Johnson i Bell mogli już pracować wewnątrz jamy, wyrzucając na zewnątrz to, co odłupali ze zwartej bryły.

Hatteras od czasu do czasu szedł jakiś kawałek i nagle się zatrzymywał. Wyraźnie nie chciał się zbliżyć do miejsca, w którym poprzednio stał jego bryg.

Doktor, tak jak obiecał, szybko powrócił. Przywiózł rozciągniętego na saniach, zawiniętego w fałdy namiotu Altamonta. Psy grenlandzkie, wychudzone, wyczerpane i wygłodzone, ledwie ciągnęły sanie, ogryzając przy tym rzemienie. Był już najwyższy czas, aby cała gromadka – zwierzęta i ludzie – dostała jedzenie i odpoczęła.

Podczas gdy drążono coraz głębsze mieszkanie, Clawbonny, szperając w różnych miejscach, dość szczęśliwie znalazł mały piecyk, który nie ucierpiał zbyt od wybuchu. Miał tylko pogiętą rurę, którą łatwo można było wyprostować. Doktor z tryumfalnym wyrazem twarzy przyniósł swoją zdobycz. Po trzech godzinach domek lodowy był gotowy do zamieszkania. Zainstalowano w nim piecyk i napchano go kawałkami drewna. Wkrótce huczał głośno, rozsyłając wokół dobroczynne ciepło.

Wniesiono do mieszkania Amerykanina i położono go w głębi na kocach. Cztery Anglicy usadowili się przy ogniu i posilali się ostatnimi zapasami z sań, czyli resztkami sucharów oraz gorącą herbatą, które jako tako ich pokrzepiły. Hatteras nic się nie odzywał, a wszyscy szanowali jego milczenie.

Po skończonym posiłku doktor dał znak Johnsonowi, żeby wyszedł z nim na zewnątrz.

– Teraz – zwrócił się do bosmana – musimy zrobić spis tego, co nam pozostało. Powinniśmy dokładnie znać stan naszych bogactw, rozrzuconych w różnych miejscach. W każdej chwili może spaść śnieg i potem nie będzie możliwości znalezienia nawet najmniejszej części pochodzącej z wraku statku.

– Nie tracmy więc czasu – odparł Johnson. – Żywność i drewno, oto czego natychmiast potrzebujemy.
– A zatem szukajmy, każdy z innej strony – odparł doktor – w taki sposób, żeby dokładnie przejrzeć cały teren w promieniu eksplozji. Zacznijmy od środka i posuwajmy się ku obwodowi.

Dwaj towarzysze skierowali się natychmiast do lodowego łoża, które wcześniej zajmował „Forward”. W przytłumionym świetle księżycy badali każdy fragment pola w poszukiwaniu szczątków statku. Wyglądało to na prawdziwe polowanie. Doktor czynił to z pasją – by nie powiedzieć przyjemnością – myśliwego. Serce mocniej mu biło, kiedy odkrył jakąś prawie nietkniętą skrzynię. Jednak najwięcej znajdował pustych lub szczątki innych, rozsiane po całym polu lodowym.

Siła eksplozji była bardzo znaczna. Większość przedmiotów obróciła się w pył lub popiół. Wielkie części maszyny parowej leżały tu i tam, poskręcane i połamane. Popękane skrzydła śruby okrętowej, rzucone dwadzieścia sążni od statku, wbiły się głęboko w stwardniały od mrozu śnieg. Skręcone wały zostały wyrwane z czopów. Pęknięty na całej długości komin, z którego zwisały jeszcze resztki łańcuchów, leżał przyciśnięty wielką bryłą lodu. Gwoździe, haki, jufersy¹, okucia steru, arkusze poszycia – wszystkie metalowe części brygu zostały rozrzucone daleko, jak szczątki prawdziwego kartacza².

W obecnej sytuacji nie było żadnego pożytku z tego żelaza, które dałoby fortunę eskimoskim plemionom. Przede wszystkim należało szukać żywności, której doktor znalazł bardzo niewiele.

– Nie wygląda to dobrze – mówił sam do siebie. – To oczywiste, że kambuz³, umieszczony blisko składu na proch, musiał zostać całkowicie zniszczony przez wybuch. Co się nie spaliło, zostało rozbite w pył. To poważny problem i jeżeli Johnson nie upolował czegoś lepszego niż ja, nie wyobrażam sobie, co się z nami stanie.

Tymczasem, poszerzając krąg swoich poszukiwań, doktorowi udało się pozbiierać trochę pemmikanu – około piętnastu funtów – oraz cztery kamionkowe butelki, które, rzucone z daleka na jeszcze miękkie śnieg, nie uległy zniszczeniu i zawierały pięć do sześciu pint wódki.

Nieco dalej podniósł z lodu dwie paczki nasion warzuchy, które pojawiły się w sam czas, gdyż mogły zrekompensować brak *lime juice'u*, bardzo przydatnego w walce ze skorbutem.

Po dwóch godzinach doktor i Johnson znowu się spotkali i podzieli się wieściami o swoich odkryciach. Na nieszczęście były one bardzo mizerne, jeśli chodzi o żywność: zaledwie kilka kawałków solonego mięsa, pięćdziesiąt funtów pemmikanu, trzy worki sucharów, mały zapas czekolady i wódki oraz około dwóch funtów kawy, zbieranej ziarenko po ziarenku.

Nie znaleźli żadnych koców, hamaków czy odzieży, gdyż z pewnością pochłonął je ogień.

W sumie doktor i bosman zebrali żywność maksymalnie na trzy tygodnie, przy bardzo oszczędnym racjonowaniu. To było zbyt mało, by przywrócić żywotność wyczerpanym ludziom. Wskutek zbiegu nieszczęśliwych zdarzeń, po braku węgla Hatteras stanął także w obliczu bliskiego braku żywności.

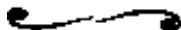
Jeśli chodzi o opał uzyskany z resztek statku, to kawałki masztów i kadłuba także mogły wystarczyć na jakieś trzy tygodnie. Jednak doktor, zanim zaczął używać ich do ogrzewania lodowego domku, chciał się poradzić Johnsona, czy z tych bezkształtnych szczątków nie udałoby się zbudować jakiegoś małego statku albo przynajmniej łodzi.

– Nie, panie Clawbonny, próżno o tym marzyć – odparł bosman. – Nie ma ani jednego kawałka, który nie byłby uszkodzony i mógłby się na coś przydać. Wszystko to nadaje się tylko do palenia przez kilka dni, a potem...

– Potem? – spytał doktor.

– Wszystko w rękach Boga! – odparł dzielny marynarz.

Skończywszy inwentarz, doktor z Johnsonem poszli przyprowadzić sanie. Chcąc nie chcąc, musieli się do nich sami zaprząć, ponieważ psy były bardzo wyczerpane, i po pewnym czasie powrócili na miejsce katastrofy. Zabrali stamtąd owe tak marne, ale jakże cenne resztki ładunku, które przywieźli i złożyli obok lodowego domku. Następnie, na pół zamarnięci, ułożyli się obok swoich towarzyszy niedoli.



1 *Jufers* (nawlek) – element ściągacza linowego, zwanego talrepm; krążek z metalu lub twardego drewna, zaopatrzony w otwory dla lin ściągających i rowek dla wanty.

2 *Kartacz* – rozpryskowy pocisk artyleryjski wypełniony metalowymi siekańcami, a w późniejszym okresie kulkami, stosowany od XVI do końca XIX w.

3 *Kambuz* – pomieszczenie kuchenne na statku, niekiedy umieszczone w osobnej nadbudówce.

Rozdział II

Pierwsze słowa Altamonta

Około ósmej wieczorem niebo na kilka chwil oczyściło się z mgieł śniegowych i konstelacje gwiazd świeciły żywym blaskiem w bardziej ochłodzonej atmosferze.

Hatteras skorzystał z tej odmiany pogody, by zmierzyć wysokość kilku gwiazd. Wyszedł bez słowa, zabierając z sobą instrumenty. Chciał poznać swoją pozycję i dowiedzieć się, czy pole lodowe jeszcze dryfuje.

Wrócił po upływie pół godziny, położył się kącie domku i pogrążył w całkowitym bezruchu, który jednak nie był snem.

Następnego dnia zaczął padać obfity śnieg. Doktor gratulował sobie, że poprzedniego dnia przeprowadził poszukiwania, gdyż gruba warstwa białego puchu wkrótce pokryła pole lodowe i wszelkie ślady eksplozji zniknęły pod całunem głębokim na trzy stopy.

Tego dnia nie można było nawet wychylić nosa na zewnątrz. Na szczęście mieszkanie było wygodne, albo przynajmniej wydawało się takie znużonym podróżnikom. Piecyk służył dość dobrze oprócz momentów, kiedy gwałtowne wiatry wpychały czasami dym do wnętrza. Jego ciepło było też wykorzystywane do sporządzania gorących napojów, takich jak herbata czy kawa, których wpływ przy bardzo niskich temperaturach był wprost cudowny.

Rozbitkowie – bo tak właściwie można ich nazwać – doświadczali dobrobytu, do którego już od długiego czasu nie byli przyzwyczajeni. Dlatego też rozmyślali tylko o teraźniejszości, dobroczynnym ciepłe i tymczasowym wypoczynku, zapominając i prawie wyzywając przyszłość, która groziła im bliską śmiercią.

Amerikanin cierpiał teraz mniej i powoli powracał do życia. Otwierał oczy, ale jeszcze nie mówił. Jego wargi nosiły ślady szkorbutu i nie były zdolne wydobyć żadnego dźwięku. Mógł jednak słuchać i został poinformowany o sytuacji. Poruszył głową na znak podziękowania. Wiedział, że został uratowany, kiedy leżał zasypany pod śniegiem, a doktor był dość mądry, by nie powiedzieć mu, że jego śmierć została opóźniona tylko na krótki czas, ponieważ po maksymalnie dwóch lub trzech tygodniach zupełnie zabraknie żywności.



Około południa Hatteras ocknął się z głębokiego zamyślenia i podszedł do doktora, Johnsona i Bella.

– Moi przyjaciele – odezwał się – musimy razem podjąć ostateczne postanowienie, co nam należy czy-
nić. Przedtem jednak poproszę Johnsona, by mi powiedział, w jakich okolicznościach dokonał się ten akt
zdrady, który może spowodować naszą zgubę.

– Po co to wiedzieć? – powiedział doktor. – Taki fakt miał miejsce i nie powinniśmy więcej o tym myśleć.

– Przeciwnie, ciągle o tym myślę – odparł Hatteras. – Dopiero po relacji Johnsona już nie będę do tego
wracał.

– Oto jak było – zaczął bosman. – Zrobiłem wszystko, by przeszkodzić tej zbrodni...

– Jestem tego pewny, Johnson, i dodam jeszcze, że przywódcy buntu już od dawna planowali coś w tym
rodzaju.

– I ja tak uważam – powiedział doktor.

– Też tak sądzę – mówił dalej Johnson – bo prawie natychmiast po waszym wyjeździe rozgoryczony
Shandon, od następnego dnia kapitan Shandon, stał się przykry, i objął dowództwo statku, popierany zresztą
przez innych. Starałem się opierać, ale wszystko na próżno. Od tej chwili każdy zaczął robić to, co mu się
żywnie podobało. Shandon pozwalał im na to, gdyż chciał pokazać załodze, że minął już czas trudów i nie-
dostatku. Tak więc na niczym nie oszczędzano. W piecu utrzymywano suty ogień, a nawet palono ogniska
na pokładzie brygu. Do dyspozycji ludzi oddano zasoby żywności, jak również alkohol. Pozostawiam waszej
domyślności, ile ludzie pozbawieni od dawna napojów wysokowych mogli wypić tych trunków.

– Więc to Shandon popychał załogę do buntu? – spytał poważnie Hatteras.

– Tak, kapitanie.

– Temat tego człowieka jest już zamknięty. Opowiadaj dalej, Johnson.

Był dwudziesty czwarty lub dwudziesty piąty stycznia, kiedy zdecydowali się opuścić statek. Postanowili
dotrzeć do zachodniego wybrzeża Morza Baffina, a stamtąd chcieli płynąć łodzią w poszukiwaniu statków
wielorybniczych, albo nawet dostać się do osad grenlandzkich położonych na wschodnim wybrzeżu. Żyw-
ności było pod dostatkiem, a chorzy, ożywieni nadzieją powrotu, poczuli się znacznie lepiej. Rozpoczęto
więc przygotowania do wyjazdu. Zbudowano sanie, zdolne do przewiezienia żywności, opału i łodzi, które
mieli ciągnąć ludzie. Tak zeszło aż do piętnastego lutego. Ciągle miałem nadzieję, kapitanie, że ujrzę ciebie
przybywającego, a jednocześnie obawiałem się twojej obecności. Nic byś nie wskórał u załogi, która raczej
by cię zamordowała, niż miałaby pozostać na statku. Jakby upili się wolnością. Brałem po kolei na stronę
wszystkich moich towarzyszy. Przemawiałem do nich, błagałem, przedstawiałem niebezpieczeństwa podob-
nej wyprawy o tej porze roku, mówiłem, że jeżeli cię porzucą, jest to tchórzostwo! Nie zdołałem nikogo
uprosić, nawet tych najlepszych! Wyjazd ustalono na dwudziestego drugiego lutego. Shandon się niecierpli-
wił. Na sanie i do łodzi władowano tyle żywności i wódki, ile tylko się dało. Zrobiono też znaczne zapasy
drewna z lewej burty, która została rozebrana aż do linii wodnej. Wreszcie ostatni dzień na statku stał się
dniem orgii. Płądrowano i niszczone wszystko. Właśnie w czasie tej pijatyki Pen i trzech innych podpaliło
statek. Biłem się z nimi, walczyłem. Przewrócono mnie i bito. Później ci nędznicy, z Shandonem na czele,
ruszyli na wschód i straciłem ich z oczu. Pozostałem sam. Jak mogłem walczyć z pożarem, który ogarnął już
cały statek? „Dziura ogniowa” była zatkana lodem i nie miałem kropli wody! Przez dwa dni „Forward” wił
się w płomieniach. Resztę już wiecie.



Po skończonym opowiadaniu w lodowym domku zapanowało długie milczenie. Ponury obraz płonącego statku i strata cennego brygu ukazywały się dobitniej w umysłach rozbitków. Stanęli naprzeciw niemożliwego, a niemożliwy był powrót do Anglii. Nie śmieli spoglądać na siebie, obawiając się ujrzeć na twarzy kogoś z nich oznaki całkowitej rozpaczki. Słychać było tylko przyspieszony oddech Amerykanina.

W końcu zabrał głos Hatteras.

– Johnson, dziękuję ci – powiedział. – Zrobiłeś wszystko, aby uratować mój statek, ale sam nie mogłeś nic więcej zdziałać. Jeszcze raz ci dziękuję i już nie mówmy o tej katastrofie. Teraz połączmy nasze wysiłki dla wspólnego ocalenia. Tutaj jesteśmy czterema towarzyszami, czterema przyjaciółmi, a życie jednego jest warte życia każdego innego. Zatem niech każdy wypowie swoją opinię o tym, co powinniśmy zrobić.

– Pytaj nas, Hatteras – odparł doktor. – Jesteśmy ci całkowicie oddani i nasze słowa będą pochodzić prosto z serca. Lecz najpierw powiedz, czy masz jakąś koncepcję?

– Sam nie potrafię nic zrobić – powiedział Hatteras ze smutkiem. – Mój pogląd mógłby się wydawać stronniczy, dlatego też chcę przede wszystkim poznać wasze zdanie.

– Kapitanie – odezwał się Johnson – zanim wypowiemy się w tak poważnej sprawie, pragnę zadać panu ważne pytanie.

– Mów, Johnson.

– Poszedł pan wczoraj zmierzyć naszą pozycję. Pytam się zatem, czy pole lodowe jeszcze dryfuje, czy też znajduje się w tym samym miejscu?

– Nie poruszyło się – odparł Hatteras. – Tak jak przed naszym odjazdem znajdujemy się na 80° 15' szerokości północnej i 97° 35' długości zachodniej.

– A jaka odległość dzieli nas od najbliższego morza na zachodzie?⁴ – ponownie zapytał Johnson.

– Około sześćuset mil – odparł Hatteras.

– A to morze, to...?

– Cieśnina Smitha.

– Ta sama, której nie zdołaliśmy przebyć w kwietniu zeszłego roku?

– Ta sama.

– Dobrze, kapitanie, teraz znamy naszą sytuację, a znając ją, możemy podjąć decyzję.

– Mów zatem – powiedział Hatteras, ukrywając twarz w dłoniach.

W takiej pozycji mógł słuchać swoich towarzyszy, nie patrząc na nich.

– A więc, Bell – odezwał się doktor – jaki jest, według ciebie, najlepszy plan działania?

– Nie ma potrzeby długo rozmyślać – odparł cieśla. – Musimy wracać, nie tracąc ani jednego dnia, ani jednej godziny, bądź to na południe, bądź to na zachód, i dostać się do najbliższego wybrzeża... Nawet jeżeli nasza podróż zajmie dwa miesiące!

– Żywności mamy tylko na trzy tygodnie – odparł Hatteras, nie podnosząc głowy.

– Zatem musimy pokonać tę przestrzeń w ciągu trzech tygodni, ponieważ jest to nasza jedyna szansa ocalenia – rzekł Johnson. – Choćbyśmy mieli iść na czworakach, kłęczkach lub się czołgać, musimy dotrzeć do wybrzeża. Należy już wyruszyć i dojść do morza w dwadzieścia pięć dni.

– Ta część ładu hyperborealnego nie jest wcale poznana – zauważył Hatteras. – Możemy napotkać przeszkody – góry i lodowce – które całkowicie zablokują nam drogę.

– Nie widzę w tym dostatecznego powodu, by nie spróbować podróży. Jest rzeczą oczywistą, że będziemy cierpieć, i to bardzo mocno. Będziemy zmuszeni ograniczyć nasze racje żywnościowe do niezbędnego minimum, chyba że jakieś szczęśliwe polowanie...

– Zostało nam tylko pół funta prochu – odezwał się Hatteras.

– Posłuchaj, Hatteras – odparł doktor – dobrze znam wartość twoich zastrzeżeń i nie łudzę się daremną nadzieją. Zdaje mi się, że potrafisz odgadnąć moje myśli: masz jakiś projekt możliwy do zrealizowania?

– Nie – odparł kapitan po chwili wahania.

– Nie możesz wątpić o naszej odwadze – dodał doktor. – Jesteśmy ludźmi, którzy będą ci towarzyszyć aż do końca, i ty dobrze o tym wiesz, ale czy w tym momencie nie należałoby porzucić wszelkiej nadziei na dotarcie do bieguna? Zdrada zniweczyła twoje plany. Mogłeś walczyć z przeszkodami stawianymi przez naturę, i nawet je pokonywać, ale nie z wiarołomstwem i słabością ludzi. Zrobiłeś wszystko, co tylko istota ludzka może zrobić, i odniósłbyś sukces – jestem tego pewny. Jednak w obecnej sytuacji jesteś zmuszony porzucić swoje projekty, a nawet, żeby powrócić do nich kogoś dnia, czy nie powinieneś znaleźć się w Anglii?

4 ...od najbliższego morza na zachodzie – z późniejszej odpowiedzi Hatterasa wynika, że chodzi o morze położone na wschodzie.

– A więc, kapitanie? – zapytał Johnson.

Hatteras nie odpowiadał przez dłuższy czas. W końcu podniósł głowę i powiedział z przymusem:

– Czy wierzycie w to, że zdołacie osiągnąć wybrzeże cieśniny w stanie takiego zmęczenia, w jakim teraz jesteście, i prawie nie posiadając żywności?

– Nie – odparł doktor – ale z pewnością wybrzeże nie przyjdzie do nas. Trzeba do niego dojść. Może dalej na południu znajdziemy plemiona eskimoskie, z którymi będziemy mogli łatwo się porozumieć.

– Poza tym – dodał Johnson – czy w cieśninie nie można spotkać jakiegoś statku zmuszonego do zimowania?

– A jeśli zajdzie taka potrzeba – mówił dalej doktor – to kiedy dotrzemy już do cieśniny, czy nie możemy jej przebyć, aby się dostać do zachodnich wybrzeży Grenlandii, a stamtąd albo przez Ziemię Prudhoe'a, albo przez przylądek York dojść do jakiejś duńskiej osady? Jednym słowem, Hatteras, żadnej z tych rzeczy nie ma na tym polu lodowym! Droga do Anglii wiedzie tam, na południe, a nie tu, na północ!

– Tak, doktor Clawbonny ma rację – wtrącił się Bell. – Należy stąd odejść, i to bez żadnej zwłoki. Do tej pory zupełnie nie pamiętaliśmy o naszym kraju i o tych, którzy są nam drodzy!

– Takie jest twoje zdanie, Johnson? – zapytał jeszcze raz Hatteras.

– Tak, kapitanie.

– I twoje też, doktorze?

– I moje, Hatteras.

Hatteras ciągle trwał w milczeniu, a na jego twarzy mimowolnie odzwierciedlały się wszystkie wewnętrzne uczucia, jakie nim targaly. Od decyzji, jaką miał podjąć, zależało całe jego życie. Jeżeli zdecyduje się na powrót, to nigdy już nie zrealizuje swoich śmiałych planów, bo trudno byłoby myśleć o czwartej próbie tego rodzaju.

Doktor, widząc, że kapitan nadal milczy, ponownie zabrał głos.

– Dodam, Hatteras, że nie możemy tracić ani chwili – powiedział. – Musimy załadować na sanie całe nasze zapasy żywności i zabrać tyle drewna, ile się da. Przyznaję, że w tych warunkach podróż licząca sześćset mil będzie długa, ale do wykonania. Możemy, a raczej musimy pokonywać dziennie dwadzieścia mil, co pozwoli nam osiągnąć wybrzeże za miesiąc, czyli około dwudziestego piątego marca...

– Czy nie możemy poczekać kilka dni? – odezwał się Hatteras.

– Czego się spodziewasz, kapitanie? – zapytał Johnson.

– Sam nie wiem. Kto może przewidzieć przyszłość? Jeszcze kilka dni! Tyle potrzebujemy, aby podreperować nasze utracone siły! Bez śniegowego domku, w którym można znaleźć schronienie, nie zdołacie przejść nawet dwóch etapów i padniecie ze zmęczenia!

– A tutaj czeka nas straszna śmierć! – zawołał Bell.

– Moi przyjaciele – powiedział Hatteras prawie błagalnym głosem – za wcześnie tracie nadzieję! Nawet gdybym wam zaproponował, by poszukać drogi ocalenia na północy, to nie zechcielibyście udać się tam razem ze mną! A jednak czy przy biegunie nie ma plemion eskimoskich, podobnie jak przy Cieśninie Smitha? Wolne morze, którego istnienie jest raczej pewne, muszą otaczać jakieś lądy. Natura jest logiczna we wszystkim, co robi. Zatem musimy uwierzyć, że wegetacja odzyskuje swoje panowanie tam, gdzie kończą się wielkie chłody. Czy na północy nie czeka nas ziemia obiecana, od której bezpowrotnie chcecie uciec?

Mówiąc to, Hatteras coraz bardziej się zapalał. Jego podniecony umysł wywoływał czarujące obrazy krajin, których istnienie było bardzo problematyczne.

– Jeszcze jeden dzień! – powtarzał. – Jeszcze jedną godzinę!

Doktor Clawbonny ze swoim awanturnicznym charakterem i gorącą wyobraźnią powoli zaczął się podniecać i ulegać, ale Johnson, bardziej roztropny i opanowany, przywrócił go do rozsądku i obowiązku.

– Dalej, Bell – powiedział – idziemy do snu!

– Chodźmy! – odparł Bell.

Dwaj marynarze skierowali się do otworu lodowego domku.

– Och, Johnson, i ty także! – zawołał Hatteras. – Dobrze, idźcie! Ja zostaję! Zostaję!

– Kapitanie! – zawołał Johnson, zatrzymując się mimowolnie.

– Powiedziałem wam, że zostaję! Jedźcie! Pozostawcie mnie, jak to zrobili inni! Jedźcie... Chodź Duke, obaj tu zostaniemy!

Dzielny pies położył się koło swego pana i zaszczekał. Johnson spojrział na doktora. Clawbonny nie wiedział, co robić. Najlepszym sposobem było uspokoić Hatterasa, poświęcając jeden dzień jego ideom. Doktor

już chciał wyrazić zgodę, kiedy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Odwrócił się. Amerykanin zrzucił koce i czołgał się po ziemi. W końcu wstał na kolana, a z jego uszkodzonych warg wydobyły się jakieś nieartykułowane dźwięki.

Zdziwiony i prawie przestraszony doktor spoglądał na niego w milczeniu. Tymczasem Hatteras zbliżył się do Amerykanina i utkwiał w nim wzrok. Próbował zrozumieć słowa, których biedak nie umiał wypowiedzieć. Wreszcie po pięciu minutach wysiłków chory wyszeptał jedno słowo: „Porpoise”.

– „Porpoise”! – zawołał kapitan.

Amerykanin przytaknął.

– Na tych morzach? – zapytał Hatteras z bijącym sercem.

Chory zareagował w ten sam sposób.

– Na północy?

– Tak! – odparł nieszczęśnik.

– Zna pan jego pozycję?

– Tak!

– Dokładnie?

– Tak!

Nastała chwila ciszy. Świadkom tej niespodziewanej sceny mocno biły serca.

– Proszę uważnie posłuchać – powiedział w końcu Hatteras do chorego – musimy bezwzględnie poznać pozycję tego statku! Będę głośno wyliczał kolejne stopnie, a pan da mi znak, kiedy mam się zatrzymać.

Amerykanin skinął głową na zgodę.

– Zaczynam od stopni długości geograficznej – rzekł Hatteras. – Sto pięć? Nie. Sto sześć? Sto siedem? Sto osiem? To jest na zachód?

– Tak – potwierdził Amerykanin.

– Kontynuujmy. Sto dziewięć? Sto dziesięć? Sto dwanaście? Sto czternaście? Sto szesnaście? Sto osiemnaście? Sto dziewiętnaście? Sto dwadzieścia?

– Tak.

– Sto dwudziesty stopień długości? – powtórzył Hatteras. – A ile minut? Liczę dalej...

Hatteras rozpoczął od jedynki. Przy piętnastu Altamont dał znak, by się zatrzymał.

– Wspaniale! – rzekł Hatteras. – Przejdźmy do szerokości. Rozumie mnie pan? Osiemdziesiąt? Osiemdziesiąt jeden? Osiemdziesiąt dwa? Osiemdziesiąt trzy?

Amerykanin dał znak do zatrzymania.

– Dobrze! A minuty? Pięć? Dziesięć? Piętnaście? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Trzydzieści pięć?

Amerykanin dał nowy znak, lekko się przy tym uśmiechając.

– Tak więc „Porpoise” znajduje się na 120° 15' długości zachodniej i 83° 35' szerokości północnej – powiedział poważnym głosem Hatteras.

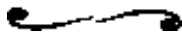


– Tak! – potwierdził ostatni raz Amerykanin i bezwładnie opadł w ramiona doktora. Wysięk, jaki uczynił, bardzo go wyczerpał.

– Przyjaciele! – zawołał Hatteras. – Sami widzicie, że ratunek jest na północy, zawsze na północy! Będziemy ocaleni!

Jednak wydawało się, jakby po tych pierwszych słowach radości Hatteras został trafiony jakąś straszną myślą, bo twarz mu sposepniała, a w jego serce wkradł się wąż zawiści.

Ktoś inny, jakiś Amerykanin⁵, wyprzedził go o trzy stopnie na drodze do bieguna! Dlaczego? W jakim celu?



5 ...*jakiś Amerykanin* – Altamont jest wzorowany na Wilkesie i Kanie (miał tego samego sponsora, Grinnella); „Porpoise”, osiągnąwszy 83° 35', zapłynął dalej niż statek Parry’ego [W.B.].

Rozdział III

Siedemnaście dni marszu

Nowe wydarzenie, pierwsze słowa wymówione przez Altamonta, zupełnie zmieniły sytuację rozbitków. Przed chwilą byli pozbawieni jakiegokolwiek szansy na ocalenie, bez uzasadnionej nadziei, że dotrą do Morza Baffina, zagrożeni brakiem żywności podczas zbyt długiej dla ich umęczonych ciał drogi. Teraz o mniej niż czterysta mil⁶ od ich lodowego domku znajdował się statek oferujący im bogate zasoby żywności i być może środki do kontynuowania zuchwałego marszu do bieguna. Hatteras, doktor, Johnson i Bell znów odzyskali nadzieję. Przed chwilą byli bliscy rozpacz, obecnie jednak napelniła ich prawdziwa radość, prawie euforia.

Informacje Altamonta były jednak jeszcze niepełne i po kilku minutach wypoczynku doktor dalej prowadził tę nienaturalną rozmowę. Zadawał mu pytania tak, że nie wymagały one żadnej słownej odpowiedzi, a tylko ruchu głową lub oczami.

Wkrótce dowiedział się, że „Porpoise” był amerykańskim trzymasztowcem z Nowego Jorku pochwyconym przez lody, posiadającym duże ilości żywności i opału. Chociaż położony na burcie, potrafił się opierać ciśnieniu i było możliwe, że da się uratować jego ładunek.

Altamont wraz z załogą opuścili go dwa miesiące temu, zabierając z sobą szalupę na saniach. Chcieli się przedostać do Cieśniny Smitha, znaleźć jakiś statek wielorybniczy i powrócić do Ameryki, ale powoli zmęczenie i choroby tak znękały tych nieszczęśników, że po drodze padali jeden po drugim. W końcu z załogi liczącej trzydziestu ludzi pozostali tylko kapitan i dwóch marynarzy, a jeżeli z tej trójki przeżył tylko Altamont, był to prawdziwy cud Opatrzności.

Hatteras chciał się dowiedzieć od Amerykanina, dlaczego „Porpoise” zabrnął tak daleko na północ.

Altamont wytłumaczył, że został uniesiony przez lody, którym nie potrafił się oprzeć.

Niespokojny Hatteras zapytał go wówczas o cel podróży.

Altamont utrzymywał, że chciał pokonać Przejście Północno-Zachodnie.

Hatteras dłużej nie nalegał i nie zadawał już więcej tego rodzaju pytań.

Wówczas głos zabrał doktor, który powiedział:

– Obecnie wszystkie swoje wysiłki musimy skoncentrować na odnalezieniu „Porpoise’a”. Zamiast pusz-
czać się na ryzykowną wyprawę ku Morzu Baffina, możemy drogą o jedną trzecią krótszą dojść do statku,
który dostarczy nam wszelkich rzeczy niezbędnych do przezimowania.

– To najlepsza decyzja, jaką możemy podjąć – odezwał się Bell.

– Dodam jeszcze – powiedział bosman – że nie możemy zmarnować jednej chwili. Musimy obliczyć
czas trwania podróży według stanu naszych zapasów żywności, przeciwnie do tego, jak się na ogół postępuje,
i ruszyć jak najszybciej w drogę.

– Masz rację, Johnson – rzekł doktor. – Jeśli wyruszymy jutro, we wtorek dwudziestego szóstego lutego,
to piętnastego marca powinniśmy dojść do „Porpoise’a”. Inaczej umrzemy z głodu. Co o tym myślisz, Hat-
teras?

– Natychmiast zaczynamy przygotowania i wyruszamy w drogę – odparł kapitan. – Być może będzie
dłuższa, niż przypuszczamy.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał doktor. – Ten człowiek wydaje się pewny pozycji swego statku.

– A jeżeli „Porpoise” dryfował razem ze swoim polem lodowym, jak przytrafiło się to „Forwardowi”?

– Rzeczywiście, to mogło się zdarzyć – potwierdził doktor.

Johnson i Bell nic nie odpowiedzieli na myśl o możliwym dryfie, którego sami stali się ofiarami.

Jednak Altamont, pilnie przysłuchujący się rozmowie, dał znak doktorowi, że pragnie mówić. Claw-
bonny przystał na prośbę Amerykanina i po dobrym kwadransie omówień oraz wahań zyskał pewność, że
„Porpoise”, osiadłszy na mieliźnie blisko wybrzeża, nie mógł opuścić swego skalistego łoża.

Ta wiadomość uspokoiła czterech Anglików, a zarazem odejmowała im wszelką nadzieję powrotu do
Europy, chyba że Bell zdołałby jakoś zbudować mały statek z resztek „Porpoise’a”. Jakkolwiek by się sprawy
miały, to najpilniejszą rzeczą było dostać się do miejsca, w którym znajdował się amerykański statek.

Doktor zadał jeszcze Amerykaninowi ostatnie pytanie: czy na osiemdziesiątym trzecim stopniu szerokości północnej napotkał morze wolne od lodów?

6 ...czterysta mil – właściwie około 360 mil; tutaj odległość podano w milach lądowych (1609 m), podobnie jak to miało miejsce wcześniej w odniesieniu do położenia Cieśniny Smitha.

– Nie – odpowiedział Altamont.

Na tym rozmowa się zakończyła. Natychmiast rozpoczęto przygotowania do wyjazdu. Johnson i Bell zajęli się najpierw saniami, które wymagały generalnej naprawy. Ponieważ nie brakowało drewna, wzmocniono pionowe wsporniki. Korzystano z doświadczenia nabytego podczas wyprawy na południe. Znano słabą stronę tego sposobu transportu, a ponieważ musiano się liczyć z przebywaniem rozległych i grubych warstw śniegu, podniesiono także płozy.

Wewnątrz sań Bell urządził coś w rodzaju łóżka pokrytego płótnem z namiotu, przeznaczonego dla Amerykanina. Żywność – niestety w małych ilościach – nie powiększyła za bardzo wagi sań, ale za to uzupełniono ładunek taką ilością drewna, jaką tylko udało się na nich umieścić.

Układając zapasy żywności, doktor spisał je z najbardziej skrupulatną dokładnością. Z jego wyliczeń wynikało, że każdy podróżnik musiał mieć zmniejszoną do trzech czwartych rację, jaką przeznaczono na trzytygodniową wyprawę. Całe racje zachowano dla czterech psów z zaprzęgu. Gdyby Duke ciągnął razem z nimi, też miał prawo do całej porcji.

Przygotowania zostały przerwane o siódmej wieczorem potrzebą wypoczynku i snu, która zawładnęła wszystkimi mieszkańcami lodowego domku. Przed ułożeniem się do snu rozbitkowie zgromadzili się wokół piecyka, któremu nie szczędzono opału. Biedacy pozwolili sobie na luksus ciepła, do którego nie byli przyzwyczajeni od długiego czasu. Pemmikan, suchary i kilka kubków kawy wkrótce wprowadziły ich w dobry nastrój, z którym współzawodniczyła nadzieja, powracająca tak niespodziewanie i przybywająca z tak daleka.

O siódmej rano wzięli się znowu do roboty, którą całkowicie zakończono o trzeciej po południu.

Zapadł już mrok. Wprawdzie słońce pojawiało się nad horyzontem już od trzydziestego pierwszego stycznia, lecz dawało jeszcze słabe i krótkotrwałe światło. Na szczęście o wpół do siódmej miał wzejść księżyc i przy tym bezchmurnym niebie jego promienie wystarczały do oświetlenia drogi. Temperatura, która przez ostatnie dni znacznie spadła, osiągnęła trzydzieści trzy stopnie poniżej zera (-36,1° C).

Nadeszła chwila odjazdu. Altamont z radością powitał pomysł wyruszenia w drogę, chociaż wstrząsy mogły zwiększać jego cierpienia. Poinformował doktora, że na pokładzie „Porpoise’a” znajdzie środki przeciw skorbutowi, niezbędne do jego wyleczenia.

Przeniesiono go więc na sanie i ułożono tak wygodnie, jak to było możliwe. Zaprzężono psy, w tym także Duke’a. Podróżni rzucili ostatnie spojrzenie na lodowe łożo, gdzie spoczywał „Forward”. Przez chwilę rysy twarzy Hatterasa ściągnęły się w grymasie wielkiego gniewu, ale zdołał zapanować nad sobą. Mała gromadka przy bardzo mroźnej pogodzie zanurzyła się w mgły zalegające na północo-północnym zachodzie.

Każdy zajął swoje zwykłe miejsce. Bell na czele, wskazując drogę, doktor i bosman po bokach sań, pilnując ich i popychając w razie potrzeby, Hatteras z tyłu, poprawiając kierunek załogi, mającej podążać w linii Bella.

Maszerowano bardzo szybko. Przy niskiej temperaturze lód był twardy i gładki, co sprzyjało ślizganiu się sań. Pięć psów z łatwością ciągnęło ładunek, którego ciężar nie przekraczał dziewięciuset funtów. Jednak ludzie i zwierzęta szybko tracili oddech i często musieli się zatrzymywać, aby nabrać tchu.

Około siódmej wieczorem księżyc wysunął swoją czerwonawą tarczę spoza zalegających na horyzoncie mgieł. Jego łagodne promienie, przenikając przez atmosferę, rzuciły blask jasno i wyraźnie odbijający się od lodów. Na północnym zachodzie pola lodowe tworzyły ogromną, doskonale płaską, białą równinę. Żadnych *ice packów*, żadnych *hummocków*. Ta część morza zamarała widać bardzo spokojnie, jak tafla cichego jeziora.

Była to rozległa pustynia, płaska i monotonna.

Takie wrażenie wywołał ten widok w umyśle doktora, który powiedział o tym swemu kompanowi.

– Ma pan rację, panie Clawbonny – rzekł na to Johnson – to jest pustynia, lecz nie musimy się obawiać, że umrzemy na niej z pragnienia!

– Oczywiście korzyść – odparł doktor. – Tymczasem jej ogrom świadczy o tym, że musimy być bardzo daleko od jakiegokolwiek lądu. Generalnie zbliżanie się do wybrzeża jest sygnalizowane przez pojawienie się wielu gór lodowych, a wokół nas nic takiego nie widzę.

– Gęsta mgła bardzo ogranicza pole widzenia – powiedział Johnson.

– Zapewne, ale od naszego wyjazdu ciągle idziemy po płaskiej powierzchni, która wydaje się nie mieć końca.

– Zdaje pan sobie sprawę, panie Clawbonny, że ten nasz spacer jest bardzo niebezpieczny? Można się do

tego przyzwyczać, można o tym nie myśleć, ale jednak ta lodowa powierzchnia, po której idziemy, przykrywa bezdenne otchłanie!

– To prawda, mój przyjacielu, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa utopienia się. Przy temperaturze trzydziestu trzech stopni poniżej zera wytrzymałość tej białej skorupy jest bardzo wielka! Zauważ też, że powoli staje się ona coraz grubsza, gdyż na tych szerokościach śnieg pada przez dziewięć dni na dziesięć, nawet w kwietniu, maju i czerwcu. Oceniam, że grubość tej skorupy może dochodzić do trzydziestu lub czterdziestu stóp.

– To jest uspokajające – powiedział Johnson.

– Rzeczywiście, nie jesteśmy łyżwiarzami z *Serpentine River*⁷, którzy w każdej chwili drżą z obawy, że krucha powłoka załamie się pod nimi. Nam nie grozi takie niebezpieczeństwo.

– Czy znana jest wytrzymałość lodu? – zapytał stary marynarz, ciągle chcący nauczyć się czegoś nowego od doktora.

– Oczywiście! – odparł doktor. – Teraz wiemy wszystko o rzeczach, które mogą być zmierzone na tym świecie, wyjąwszy ludzką ambicję! Czy istotnie nie jest tak, że to ona pcha nas do bieguna północnego, który człowiek chce w końcu odkryć? Ale wracając do twojego pytania, oto co mogę ci odpowiedzieć: przy grubości dwóch cali lód może udźwignąć człowieka, przy grubości trzech i pół cala konia z jeźdźcem, przy pięciu calach ośmiofuntowe działo, przy ośmiu calach armatę polową z całym zaprzęgiem, wreszcie gdy ma grubość dziesięciu cali, może unieść całą armię, nieprzeliczony tłum! W miejscu, w którym się obecnie znajdujemy, można by zbudować coś takiego jak Urząd Celny w Liverpoolu albo budynek parlamentu w Londynie.

– Z trudem można sobie wyobrazić taką wytrzymałość – powiedział Johnson. – Przed chwilą mówił pan, że w tych regionach śnieg pada przeciętnie dziewięć dni na dziesięć. To jest fakt oczywisty, toteż go nie kwestionuję, ale skąd bierze się ta ogromna ilość śniegu, skoro teraz morza pokryte są lodami? Zupełnie nie rozumiem, jak one mogą wytwarzać taką ogromną ilość pary wodnej, z której tworzą się chmury.

– Twoja uwaga jest słuszna, Johnson. Moim zdaniem największa część śniegu lub deszczu, które spadają w regionach polarnych, pochodzi z wody mórz stref umiarkowanych. Taki oto płatek śniegu jako zwykła kropla wody z europejskiej rzeki uniósł się w powietrze pod postacią pary wodnej, sformował się w chmurę i przybył w te strony, aby się zestalić. Jest zatem możliwe, że kiedy pijemy wodę z roztopionego śniegu, gasimy pragnienie wodą z rzeki naszego własnego kraju.

– Przynajmniej tyle – podsumował bosman.

W tym momencie rozmowa została przerwana, gdyż usłyszeli głos Hatterasa nawołującego do skorygowania drogi. Mgła gęstniała i trudno było się posuwać w linii prostej.

Wreszcie około ósmej wieczorem mała gromadka zatrzymała się po przejściu około piętnastu mil. Utrzymywała się mroźna pogoda. Rozbito namiot, rozpalono w piecu i zjedzono kolację. Noc minęła spokojnie.

7 *Serpentine River* (ang. – Wężowa Rzeka) – zbiornik wodny w Hyde Parku w Londynie, wykopany w 1730 roku, zwany też *Serpentine Lake* (ang. – Wężowe Jezioro); nazwę swą zawdzięcza przecinającemu go mostowi *Serpentine Bridge*.



Rzeczywiście pogoda bardzo sprzyjała Hatterasowi i jego towarzyszom. Przez następne dni ich podróż odbywała się bez trudności, chociaż panował siarczasty mróz, tak że rtęć zamarzała w termometrze. Jeżeli do tego dołączał się wiatr, to żaden z podróżników nie potrafił wytrzymać takiej temperatury. Przy tej okazji doktor potwierdził prawdziwość obserwacji Parry'ego, poczynionych podczas jego wycieczki na Wyspę Melville'a. Ten sławny żeglarz dowodził, że odpowiednio ubrany człowiek może bezkarnie spacerować na świeżym powietrzu nawet podczas największych mrozów, pod warunkiem, że w atmosferze panuje cisza. Gdy jednak zacznie dmuchać choćby najłżejszy wiatr, czuje się palące szczypanie na twarzy i gwałtowny, niesamowity ból głowy, po którym wkrótce następuje śmierć. Z tego powodu doktor odczuwał niepokój, bojąc się, że zwykły podmuch wiatru zmroziłby ich do szpiku kości.

Piątego marca doktor był świadkiem fenomenu właściwego dla tych szerokości geograficznych. Niebo było całkowicie pogodne i lśniące gwiazdami, gdy zaczął sypać obficie śnieg. Nie było widać nawet chmurki, a konstelacje przebłyskiwały poprzez płatki, które spadały na pole lodowe z wytworną regularnością. Śnieg padał około dwóch godzin. Przez ten czas doktor nie znalazł dostatecznego wyjaśnienia tego zadziwiającego opadu.

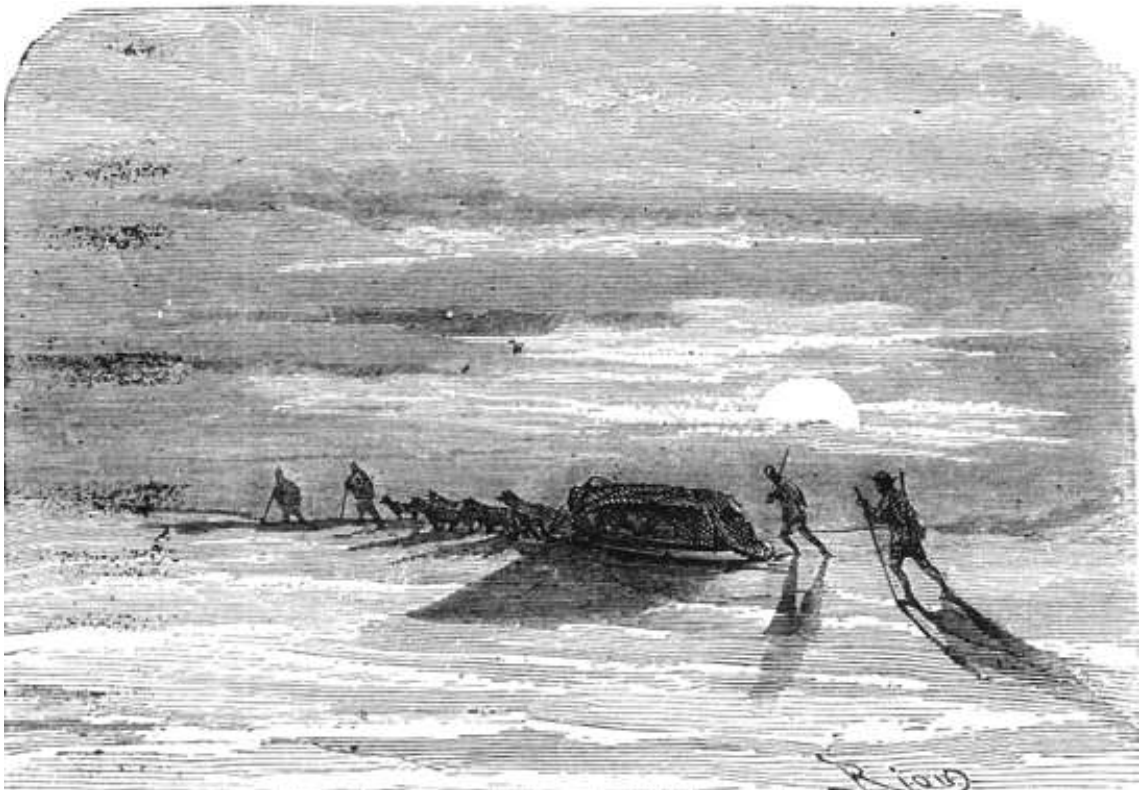
Skończyła się właśnie ostatnia kwadra księżyca. Przez siedemnaście godzin na dwadzieścia cztery panowała głęboka ciemność. Podróżnicy musieli się połączyć długą liną, aby nie pogubić się nawzajem. Prawie niemożliwe stało się utrzymanie prostej linii drogi.

Tymczasem ci odważni ludzie, chociaż obdarzeni żelazną wolą, odczuwali coraz większe zmęczenie. Częściej musieli się zatrzymywać, a przecież nie można było tracić ani godziny, gdyż wyraźnie ubywało żywności.

Hatteras często obliczał swoją pozycję na podstawie obserwacji księżyca i gwiazd. Widząc upływające dni i jeszcze bardzo daleki cel podróży, zastanawiał się czasami, czy „Porpoise” naprawdę istnieje, czy umysł Amerykanina nie uległ zaburzeniom z powodu cierpienia albo chociażby przez nienawiść do Anglików, i czy, nie widząc już dla siebie żadnego ratunku, nie chciał ich pociągnąć za sobą na pewną śmierć.

Opowiedział o swoich przypuszczeniach doktorowi, który stanowczo je odrzucił, ale jednocześnie pojął, że pomiędzy kapitanem angielskim a kapitanem amerykańskim istniała nieznoszna rywalizacja.

„Trudno będzie utrzymać dobre relacje pomiędzy tymi dwoma ludźmi” – pomyślał.



Czternastego marca, po szesnastu dniach marszu, podróżnicy znajdowali się dopiero na osiemdziesiątym drugim stopniu szerokości. Siły ich były mocno wyczerpane, a mieli jeszcze sto mil do statku. Jakby tego było mało, trzeba było zmniejszyć racje do jednej czwartej, aby zachować całe porcje dla zwierząt.

Na nieszczęście nie można było liczyć na żywność z polowania, ponieważ zostało im zaledwie siedem ładunków prochu i sześć kul. Strzelali kilka razy do białych zajęcy i lisów, zresztą bardzo nielicznych, ale żadnego nie udało się trafić.